

Wyzysk nie jest cechą wolnego rynku

Maciej Kuźmich w artykule *'Wolny rynek? Tylko w Chinach'* (GW, 14.03.05) przedstawił sugestywny opis sytuacji chińskich pracowników w Shenzhen, w którym to rejonie, zdaniem autora, można znaleźć „wolny rynek w najczystszej formie”. Autor wyraźnie gra na emocjach czytelnika, często też przecząc samemu sobie.

Czytając ten artykuł przypomniała mi się historia socjalisty Uptona Sinclaira, który został wysłany przez jeden z dzienników do Chicago by opisał warunki pracy robotników w rzeźniach. Efektem tego demaskatorskiego i tzw. zaangażowanego dziennikarstwa była wydana w 1906 roku powieść *Grzęzawisko* (tytuł oryginalny *The Jungle*). Celem tej książki było wzbudzenie sympatii dla pracujących w ciężkich warunkach robotników. Opisane przez Sinclaira warunki sanitarne w rzeźniach stały się pretekstem do uchwalenia ustawy o żywności i lekach. W konsekwencji powołano potężną Administrację ds. Żywności i Lekarstw (FDA), która obecnie krytykowana jest często za zbyt restrykcyjne działania i hamowanie rozwoju wielu gałęzi przemysłu.

Podobnie jak Sinclair, Maciej Kuźmich epatuje czytelnika sugestywnymi informacjami o rzędach robotnic pracujących „round the clock” wzdłuż prymitywnej taśmy produkcyjnej i składających telefony, o wynagrodzeniu rzędu kilkudziesięciu groszy za godzinę, o robotniku, który po wypadku w fabryce jedzie do szpitala taksówką trzymając swoją uciętą rękę zawiniętą w papier, by mu ją tam przyszyli, a którego jeszcze niewdzięczny taksówkarz molestuje domagając się zapłaty za kurs. Jednocześnie Autor, tak trochę mimochodem, pisze, że dochód na osobę w Delcie Rzeki Perłowej jest czterokrotnie większy niż średnio w Chinach, że nikt tych robotników nie zmusza do pracy, że ludzie masowo przyjeżdżają do tego rejonu Chin by pomóc rodzinie mieszkającej w znacznie gorszych warunkach w innych rejonach Chin, że przyjeżdżają tutaj, pracują ciężko przez dwa lata i wyjeżdżają w rodzinne strony (prawdopodobnie z jakąś odłożoną gotówką uzbieraną w ciągu tych dwóch lat po to by założyć swój ‘mały interes’ w swoich rodzinnych stronach i żyć trochę lepiej niż w przeszłości).

Autor przez cały czas sugeruje, że taka pożałowania godna sytuacja robotnika w Chinach jako żywo przypomina sytuację robotnika w XIX wiecznym wolnorynkowym kapitalizmie. Choć może ma rację? Bo przecież obecny, wysoki standard życia Brytyjczyka, czy Amerykanina w ogromnym stopniu wynika z tego, co ciężko zapracował ‘wyzyskiwany’ w XIX wieku jego prapradziadek. Chciałbym by tego też doświadczyli za lat kilkadziesiąt Chińczycy.

Wolny rynek oskarżany jest często o nieludzkie warunki życia i pracy, o zubożenie ludności, o wysokie bezrobocie (listę możnaby wydłużać w nieskończoność). Warto, jednak powiedzieć, że wszystko, także i bieda, jest względne. W Wielkiej Brytanii, która pierwsza weszła na drogę kapitalistycznego rozwoju, biedni byli także przed rewolucją przemysłową (z całą pewnością biedniejsi bo inaczej nie uciekaliby z ‘sielskiego wiejskiego życia’ na wsi do ‘smutnego, zadymionego miasta przemysłowego’). W okresie przed rewolucją przemysłową śmiertelność noworodków dochodziła do 75%, a okresowe braki żywności doprowadzały do masowego wymierania ludności. Jak ta bieda wolnorynkowej, XIX-wiecznej Anglii wyglądała? Sięgnijmy po dane zamieszczone w *Zasadach ekonomii politycznej* Johna Stuarta Milla. W latach 1833 do 1883 robotnik otrzymywał „od 50% do 100% większe

wynagrodzenie za pracę o 20% mniejszą” (o tyle zmniejszył się średni czas pracy w ciągu tych 50 lat, i to bez nacisków na pracodawców ze strony związków zawodowych). Przykładowo tygodniowe płace cieśli (podobnie jak i murarzy) w Manchesterze wzrosły z 24 do 34 szylingów, cieśli w Glasgow z 14 do 26 szylingów, tkaczy osnowy (w Huddersfield) z 16 do 25 szylingów, tkaczy (mężczyzn w Bradford) z 8 szylingów i 3 pensów do 20 szylingów i 6 pensów. Płaca dzieci przy przedzeniu wzrosła z 4 szylingów i pięciu pensów w 1833 r. do 11 szylingów i 6 pensów w 1883 roku.

Ktoś może powiedzieć, że ‘wzrost wzrostem, ale płace i tak były minimalne’. Zauważmy jednak, że inflacji (do której obecności w gospodarce przywykliśmy w wieku XX) w tamtym okresie prawie nie było. O tym, że wzrost płac był czymś realnym świadczyć mogą podane w tejże publikacji dane odnośnie rocznego spożycia żywności w Wielkiej Brytanii; przykładowo w latach 1840 do 1881 roku wzrost spożycia na jedną osobę rocznie wynosił: bekonu i szynki z 0,01 funta do 13,93 funta (tzn. ok. 6.3 kg), masła: z 1,05 funta do 6,36 funtów, sera z 0,92 do 5,77 funtów, rodzynek i winogron z 1,45 do 4,35 funtów, jaj z 3,63 sztuk do 21,65 sztuk, ziemniaków z 0,01 funta do 12,85 funtów, ryżu z 0,9 funta do 16,85 funtów, pszenicy, owsa i mąki z 42,47 do 216,92 funtów, cukru nierafinowanego z 15,20 do 58,92 funtów, oraz cukru rafinowanego z 0 do 8,44 funtów, herbaty z 1,22 do 4,58 funtów. Na uwagę zasługuje bardzo mały wzrost spożycia alkoholu: wina z 0,25 do 0,45 galona i wódki z 0,97 do 1,08 galona.

Maciej Kuźnicz naśmiewa się z „symptycznego i nieszkodliwego” terminu jakim posługują się ekonomiści, mianowicie „przewagi konkurencyjnej wynikającej z niskich kosztów”. Warto więc przypomnieć, że ta „sympatyczna” cecha przedsiębiorczego działania legła u podstaw sukcesu gospodarczego Brytyjczyków i Amerykanów w XIX wieku i będzie też podstawą sukcesu wielu jeszcze innych społeczeństw w przyszłości.

Nie pisałbym może tych uwag, gdyby nie zakończenie artykułu Macieja Kuźnicza, w którym pisze on „Na to, co naprawdę się tam wydarza, etycy znaleźli nieprzyjemne, staromodne i brudne słowo, które Europa bardzo stara się wyrzucić ze swojego słownika na początku XXI wieku, a Chiny o nim zapomniały. To słowo to wyzysk - i czas najwyższy odkryć je na nowo. Powinni to zrobić przede wszystkim polscy apologety wolnego rynku.”

Jestem „apologetą wolnego rynku” i myślę, że nie mam potrzeby odkrywać go na nowo. Słowo wyzysk jest dobrze znane ‘apologetom wolnego rynku’, ale stosować je należy raczej do takich systemów jakie panują na Kubie, w Korei Północnej, jakie panowały w PRLu, Rosji Sowieckiej, ale całkiem nie na miejscu jest stosować je do sytuacji rynkowej, kiedy to wszystko co się dzieje (czy to pomiędzy sprzedającym i kupującym, czy między pracodawcą i pracownikiem) nie jest efektem przymusu, ale swobodnej akceptacji obu stron. Sam Autor w swoim artykule przyznaje, że „Nikt ich nie zmusza do pracy. Sami mają nadzieję na jak największą liczbę godzin przy maszynach i liniach produkcyjnych.” Nieuczciwą wydaje mi się natomiast próba wywołania wyrzutów sumienia u Polaka, Europejczyka, Amerykanina, kupującego tanie produkty z Chin. W istocie kupując te produkty pozwalamy im żyć w coraz to lepszych warunkach i dajemy im szansę na wyjście z prawdziwej biedy w jakiej się znaleźli pod reżimem komunistycznym, a w dłuższej perspektywie dogonienie Zachodu. Jeśli już mielibyśmy mieć wyrzuty sumienia to dlatego, że jako Europejczycy, Polacy, Amerykanie subsydiujemy rolnictwo i uniemożliwiamy rolnikom z biednych rejonów świata sprzedawać nam ich owoców pracy. To właśnie w ten sposób wpędzamy ich w biedę.